

Judith Rich Harris

Każdy inny

Przekład:
Agnieszka Nowak

smak  słowa

Sopot 2010

Spis treści

Przedmowa.....	7
Rozdział 1 Świadomość różnic	11
Rozdział 2 Ten przeklęty prostokąt	43
Rozdział 3 Małpie figle	71
Rozdział 4 Kolejność narodzin oraz inne różnice środowiskowe w rodzinie	109
Rozdział 5 Osoba i sytuacja	151
Rozdział 6 Modułowa struktura umysłu	183
Rozdział 7 Układ odpowiedzialny za relacje z innymi	207
Rozdział 8 Układ socjalizacyjny	231
Rozdział 9 Układ odpowiedzialny za status społeczny	261
Rozdział 10 Rozwiązanie	299
Bibliografia	329
Indeks nazwisk	345
Indeks rzeczowy.....	350

Przedmowa

Ludzka niepowtarzalność wciąż pozostaje tajemnicą. Współczesne teorie osobowości (i rozwoju osobowości) nie wyjaśniają, dlaczego na całym świecie nie ma dwóch jednakowych osób ani dlaczego ludzie różnią się między sobą w taki, a nie inny sposób. Nawet bliźnięta jednojajowe dorastające w tym samym domu różnią się pod względem osobowości i zachowania. Bliźnięta jednojajowe mają takie same geny, dlatego różnice między nimi nie mogą być uwarunkowane genetycznie.

Interesujące różnice między ludźmi nie są zdeterminowane przez geny ani przez żaden z innych czynników, które prawdopodobnie przyszły Ci do głowy na widok słowa „osobowość”. To dlatego ludzka indywidualność wciąż pozostaje tajemnicą.

Moim celem w tej książce jest rozwiązanie owej zagadki. Można powiedzieć, że masz przed sobą naukową książkę detektywistyczną.

To doskonały moment na podjęcie tego wyzwania. Dzisiaj mamy do dyspozycji narzędzia, których brakowało wcześniejszym teoretykom – w szczególności nowy model ludzkiego umysłu, oparty na wynikach dociekań psychologów ewolucyjnych, takich jak Steven Pinker, Leda Cosmides i John Tooby. Dziś już wiemy, że ludzki umysł jest czymś więcej niż tylko złożonym organem – jest **zbiorem** złożonych organów, z których każdy służy do czegoś innego i działa wedle własnych reguł.

Jednakże psychologia ewolucyjna nie jest jedynym narzędziem, z jakim przystępuję do tego przedsięwzięcia. Jako niezależna badaczka mogę bezkarnie lekceważyć granice terytorialne między dyscyplinami naukowymi i podążać wszędzie tam, dokąd zawiedzie mnie podjęty trop. W trakcie swoich poszukiwań zapuszczałam się na terytoria psychologii społecznej, psychologii rozwojowej, psycholingwistyki, neuronauki i genetyki behawioralnej. Znajdowałam użyteczne wskazówki w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach – nawet w entomologii, nauce o owadach.

Żeby rozwikłać zagadkę, detektyw musi przeanalizować rozmaite rozwiązania i wyeliminować te, które się nie sprawdzają. Czuję się dobrze przygotowana do tego zadania – jestem niedowiarkiem gotowym zadawać najbardziej impertynenckie pytania. Kiedy jakiś nadęty nudziarz z długą listą tytułów

naukowych mówi mi, że to i to jest prawdą, odpowiadam: „Pokaż mi dane empiryczne”. Już jako dziecko byłam zuchwała i sceptyczna, a doświadczenia ostatnich siedmiu lat – od publikacji książki *Geny czy wychowanie* – wzmocniły we mnie te cechy. Opowiem Ci i tę historię, ponieważ ma ona istotne znaczenie dla poszukiwań opisanych w tym tomie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że moje doświadczenia z ostatnich siedmiu lat były w przeważającej części negatywne. Wprost przeciwnie. Chociaż problemy zdrowotne przez większość czasu nie pozwalały mi opuszczać domu, poznałam (przede wszystkim za pośrednictwem poczty elektronicznej) mnóstwo interesujących, otwartych ludzi. Przekonałam się, że długa lista tytułów naukowych przed nazwiskiem wcale nie musi oznaczać, że dana osoba jest nadętym nudziarzem.

To było siedem niezwykłych lat. Nie uwierzyłbyś, że osoba w mojej sytuacji – ktoś, kto nie jest w stanie podróżować ani chodzić na przyjęcia – może przeżywać tak wspaniały okres. Wszystko to dzięki temu, że podczas gdy ja utknęłam w zaścianku (w stanie New Jersey), książka *Geny czy wychowanie* podróżowała po całym świecie, przetłumaczona na piętnaście języków. E-maile, o których wspomniałam, nadchodziły nie tylko z różnych stron Stanów Zjednoczonych, ale też z takich zakątków świata, których nigdy nie widziałam i z pewnością nie zobaczę. Teraz mam okazję podziękować tym wszystkim, którzy dzielili się ze mną swoimi myślami i odczuciami. Wasze słowa skłaniały mnie do refleksji, były dla mnie źródłem zadowolenia i przyjemności, stanowiły niełatwe wyzwanie, a czasami poruszały mnie do głębi.

Mam także dług wdzięczności wobec wielu innych osób. Moja agentka, Katinika Matson z Brockman, Inc., była zawsze przy mnie, kiedy jej potrzebowałam, gotowa mnie wysłuchać i udzielić mi dobrej rady. Moja redaktor prowadząca z wydawnictwa W. W. Norton, Angela von der Lippe, udzieliła mi wielu wskazówek, które pozwoliły na dopracowanie tej książki, czyniąc ją bardziej zrozumiałą i łagodniejszą w tonie. Pozostałe osoby z wydawnictwa Norton, których pomoc była dla mnie niezwykle cenna, to Vanessa Levine-Smith i Renee Schwartz.

Jestem szczególnie wdzięczna moim kolegom, przyjaciółom i krewnym, którzy udzielili mi nieocenionej pomocy, czytając wcześniejsze wersje tej książki oraz przekazując mi mądre, pożyteczne informacje zwrotne. Tyśiąckrotnie dziękuję Stephenowi L. Blackowi, Marie Bristol-Power, Helenie Cronin, Joan Friebely, Charlesowi S. Harrisowi, Davidowi G. Myersowi, Stevenowi Pinkerowi, Robertowi Plominowi, Richardowi G. Richowi i Frederickowi Townsendowi. Ich rady i komentarze były warte więcej niż drogocenne kamienie.

Dużo więcej niż wartościowe informacje zwrotne otrzymałam od mojego męża od czterdziestu czterech lat, Charlesa Harrisa, dzięki któremu mogę

nadal pisać książki. Za jego pomoc i wsparcie ofiarowuję mu swoją wdzięczność i miłość. Chciałabym także przekazać wyrazy miłości pozostałym członkom mojej wyrozumiałej i wspierającej rodziny: moim córkom, Nomi i Elaine, zięciom, Chrisowi i Timowi, oraz bratu, Richardowi. Czy mogę również wspomnieć o swoich wnuczętach? Jest ich czworo – wszystkie mądre i piękne: Jennifer, Abigail, Jeremy i Eleanor.

Zadedykowałam tę książkę Stevenowi Pinkerowi, który jest moim korespondencyjnym przyjacielem i współpracownikiem od 1995 roku. Przez wszystkie te lata Steven uważnie słuchał moich idei, podnosił mnie na duchu, kiedy ogarniało mnie zniechęcenie, i spierał się ze mną, kiedy sądził, że podążam w złym kierunku. Choć nadal nie brakuje między nami kwestii spornych, Steve wywarł na moje poglądy silniejszy wpływ niż ktokolwiek inny. Co równie istotne, pozwolił mi wpłynąć na **jego** sposób myślenia.

Pisząc te słowa, uświadomiłam sobie, że moje podziękowania należą się jeszcze jednej grupie ludzi – twórcom internetu oraz tym, którzy nieustannie go rozwijają. To dzięki nim ktoś, kto znajduje się w mojej sytuacji, może wymieniać idee i poglądy z najwybitniejszymi myślicielami naszych czasów. Cuda współczesnej medycyny utrzymują mnie przy życiu, ale to cuda nowoczesnej technologii pozwoliły mi napisać tę książkę.

ROZDZIAŁ 3

Małpie figle



Przed laty zostałam autorką podręczników akademickich, ponieważ była to praca, którą mogłam wykonywać w domu. Porzuciłam to zajęcie, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że informacje, które przekazuję czytelnikom – studentom – są nieprawdziwe. Jednak pierwszą rzeczą, którą zrobiłam po uświadomieniu sobie tego faktu, nie było napisanie książki innego rodzaju – zaczęłam od artykułu, w którym przedstawiłam część danych empirycznych przemawiających przeciwko popularnym teoriom rozwoju dziecka, i wysłałam go do redakcji czasopisma „Psychological Review”. Chociaż nie miałam kwalifikacji, jakich zwykle wymaga się od autorów w takich czasopismach – nie mam tytułu doktora ani nie pracuję na żadnym uniwersytecie – mój artykuł został przyjęty i opublikowany¹.

Wzbudził bardzo niewielkie zainteresowanie, zwłaszcza wśród osób uczących przedmiotu, którego dotyczyły podręczniki akademickie mojego autorstwa – profesorów psychologii rozwojowej. Jednak nie wszyscy przedstawiciele świata akademickiego zignorowali moją publikację. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne przyznało mi za nią Nagrodę im. George’a A. Millera, nazwaną imieniem wybitnego psychologa poznawczego i przyznawaną co roku autorowi wyróżniającego się artykułu z dziedziny psychologii. Nagrodzie towarzyszył czek wartości pięciuset dolarów, brązowa tablica pamiątkowa (która nadal wisi na ścianie mojego gabinetu) oraz zaproszenie do wygłoszenia czterdziestopięciominutowego wykładu podczas dorocznego kongresu Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, który tamtego roku odbywał się w San Francisco.

¹ Harris, 1995.

Był to rok 1998. Chociaż w tamtych czasach mogłam jeszcze podróżować, Kalifornia jest bardzo daleko od New Jersey. Wiedziałam, że tak długa podróż będzie niezwykle wyczerpująca i dość ryzykowna. Poza tym miałam bardzo niewielkie doświadczenie w wystąpieniach publicznych. Mimo to przyjąłam zaproszenie. Przyjechałam do San Francisco półtora dnia przed wykładem i spędziłam cały ten czas, odpoczywając w swoim pokoju hotelowym.

Swoje wystąpienie² rozpoczęłam od odczytania listu, który otrzymałam trzydzieści osiem lat wcześniej z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Harvarda. W liście tym wyjaśniono, że władze wydziału postanowiły odrzucić moje podanie o przyjęcie na studia doktoranckie. Rada wydziału doszła do wniosku – ciągnął autor listu – że nie zasługuję na tytuł doktora, ponieważ nie jestem wystarczająco „oryginalna i niezależna”, aby spełnić harwardzkie standardy. Po odczytaniu listu powiedziałam słuchaczom, kto się pod nim podpisał – pełniący obowiązki dziekana Wydziału Psychologii Uniwersytetu Harvarda, George A. Miller.

Słuchacze zareagowali na moją rewelację – wiadomość, że otrzymałam nagrodę nazwaną imieniem człowieka, który nie przyjął mnie na studia doktoranckie – tak, jak tego oczekiwałam: wybuchem śmiechu. Być może ów moment rozbawienia uchronił mnie przed wrogością, z jaką w przeciwnym razie mogłam się spotkać – podczas sesji pytań i odpowiedzi słuchacze potraktowali mnie dość łagodnie. Gromy posypały się później, kiedy Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne zostało publicznie skrytykowane za przyznanie mi wspomnianej nagrody, a w miesięczniku wydawanym przez tę organizację ukazały się gniewne listy³.

Jednak prawdziwą przyczyną owych pełnych gniewu listów nie był nagrodzony artykuł, ale moja książka, *Geny czy wychowanie*, która – ślepym trafem – ukazała się zaledwie kilka dni po moim wystąpieniu w San Francisco. Psychologowie rozwojowi nie zwrócili uwagi na mój artykuł, ale dużo trudniej było zignorować książkę. Pomięłam ich i przedstawiłam swoje racje bezpośrednio szerokiemu gronu czytelników.

Ten fakt skutecznie przyciągnął uwagę psychologów rozwojowych. Poczuli się, jakbym dała im kuksańca. To, co mówiłam – że rodzice nie są w stanie kształtować osobowości swoich dzieci – brzmiało w ich uszach jak herezja. Wielu z nich przez całe życie zawodowe prowadziło badania mające pokazać, w jaki sposób rodzice kształtują osobowość swoich dzieci. Nie **czy** ją kształtują,



² J. R. Harris, „Don’t Blame Your Parents: The Nurture Assumption on Trial”. Wykład wygłoszony podczas dorocznej konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, San Francisco, 15 sierpnia 1998 (dostępny na stronie internetowej „Gifts of Speech”, <http://gos.sbc.edu/>).

³ *APA Monitor*, grudzień 1998.

ale **jak** to robią. To, że rodzice są do tego zdolni, było dla psychologów rozwojowych oczywiste. Właśnie to miałam na myśli, mówiąc o „założeniu o decydującym wpływie wychowania”⁴.

Po ukazaniu się książki moje życie zmieniło się w jednej chwili. Przez długie lata pracowałam spokojnie w domu, rzadko widując osoby spoza mojej rodziny. Nagle dziennikarze zaczęli się pchać drzwiami i oknami, prosząc mnie o wywiad, a producenci telewizyjni pytali, czy mogą przyjść do mojego domu, żeby mnie sfilmować. Chociaż nie mogłam jeździć na spotkania autorskie ani występować w programach telewizyjnych, teksty dotyczące mojej książki ukazywały się w gazetach i czasopismach w całym kraju.

Wrzawa medialna jeszcze nie ucichła, kiedy odebrałam telefon od Marie Bristol-Power z Krajowego Instytutu Zdrowia Dziecka i Rozwoju Człowieka (NICHD), stanowiącego część amerykańskiego Narodowego Instytutu Zdrowia. Chciała zorganizować konferencję dotyczącą wychowania dzieci w ośrodku NICHD w miejscowości Bethesda w stanie Maryland. Celem konferencji miało być przedyskutowanie niektórych zagadnień poruszonych w mojej książce. Marie poprosiła mnie o wygłoszenie wykładu inauguracyjnego. Zgodziłam się.

Wkrótce dowiedziałam się o sporze, który rozgorzał po tym, jak Marie zaproponowała zorganizowanie tej konferencji. „Dlaczego chcesz zaprosić właśnie ją?” – pytali ją współpracownicy. „Czy media nie zrobiły jej wystarczającej reklamy?” Pewna uznana specjalistka w dziedzinie psychologii rozwojowej, która została zaproszona na konferencję, powiedziała, że na nią nie przyjedzie, jeśli moje nazwisko znajdzie się na liście prelegentów. Marie nie uległa. „Cóż to, boicie się drobnej kobietki z New Jersey?” – zapytała. „Ale jest tyle dowodów przemawiających przeciwko jej poglądom” – zaprotestowała znana psycholog rozwojowa. „Świetnie – odparła Marie – opowiedz o nich słuchaczom”⁵.

„Musiałam walczyć o tę konferencję” – powiedziała mi Marie. „Musiałam walczyć o to, żeby twoje wystąpienie znalazło się w programie”. Marie wygrała – konferencja się odbyła, a ja zostałam na nią zaproszona. Jej pomysłodawczyni musiała jednak pójść na pewne ustępstwa. Program był naszpikowany wystąpieniami psychologów rozwojowych, którzy się ze mną nie zgadzali. Zaplanowano też dwa wykłady inauguracyjne (zamiast jednego). Autorką drugiego wystąpienia – tą, która w programie konferencji znalazła się na pierwszym miejscu – była Eleanor Maccoby, pierwsza dama psychologii rozwojowej. Chociaż oficjalnie przeszła na emeryturę po wielu latach pracy dydaktycznej na Uniwersytecie Stanforda, nadal była aktywna i w świetnej formie intelektualnej.

⁴ W oryginale: *the nurture assumption* – właśnie taki angielski tytuł nosi książka Judith Rich Harris, która w Polsce ukazała się pod tytułem *Geny czy wychowanie* (przyp. tłum.).

⁵ Rozmowa telefoniczna z M. Bristol-Power, 16 maja 2002.

Jako amatorka w dziedzinie wystąpień publicznych, przed każdym wykładem bardzo się denerwuję. Podczas konferencji NICHHD miałam stanąć przed publicznością, która już wcześniej występowała przeciwko mnie. Zaproszono tylko jednego z moich sprzymierzeńców – Davida Rowe’a, genetyka behawioralnego z Uniwersytetu Stanu Arizona. Moje wystąpienie zaplanowano tuż po wykładzie Eleanor Maccoby, która była profesjonalistką z wieloletnim doświadczeniem w przemawianiu publicznym.

Ku mojemu zdziwieniu Maccoby weszła na mównicę, wyjęła gruby plik kartek i zaczęła czytać. Oto w jaki sposób wygłosiła swój wykład – odczytała go z maszynopisu, szybko i beznamiętnie, rzadko kiedy podnosząc wzrok, aby spojrzeć na słuchaczy. Powiedziała, że nie mam racji, ale przedstawione przez nią dowody empiryczne wcale mnie nie zmartwiły, a jej monotonne wystąpienie dodało mi odwagi. Mimo to słuchacze byli jej przychylni, a do mnie odnosili się nieprzyjaźnie. Siedzieli z kamiennymi twarzami, kiedy przemawiałam. Moje żarty wywoływały co najwyżej pojedyncze, stłumione śmiechy.

Później Maccoby i ja odpowiadałyśmy na pytania publiczności. Wszystkie pytania skierowano do mnie, a większość była nacechowana wrogością. Pytanie, które pamiętam do dziś – najbardziej jawnie wrogie z nich wszystkich – zadał przysadzisty mężczyzna siedzący w jednym z ostatnich rzędów. Wstał i zarzucił mi pogardliwym tonem, że nie wzięłam pod uwagę interakcji. **Nic dziwnego**, że genetycy nie zaobserwowali wpływu podzielanego środowiska domowego – zapomnieli o interakcjach. Geny i wychowanie nie wywołują skutków rozwojowych bezpośrednio, lecz działają **w interakcji**.

Okazało się, że ów mocno zbudowany mężczyzna to Stephen Suomi, kierownik Laboratorium Etologii Porównawczej NICHHD. Suomi prowadzi swoje badania na reżusach, a nie na grupach ludzkich dzieci. Jego komentarz – nie było to pytanie, ponieważ Suomi nie oczekiwał odpowiedzi – dotyczył interakcji między genami a środowiskiem. Interakcje geny–środowisko to trzeci z moich fałszywych tropów.

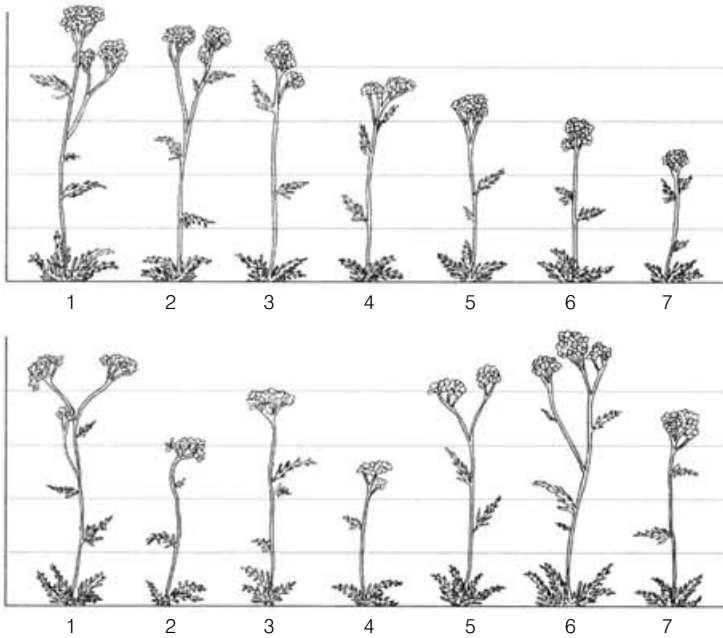
Stephen Suomi nie obawiał się drobnej kobietki z New Jersey. Może powinien się bać.



Jeśli na studiach miałeś zajęcia z biologii, to może już widziałeś rysunek przedstawiający grupę roślin, podobny do tego, który zamieściłam tutaj⁶. Każda z siedmiu roślin w górnym rzędzie jest „jednojąową siostrą bliźniaczką” rośliny znajdującej się bezpośrednio pod nią w dolnym rzędzie. Obie wyrosły



⁶ Np. Suzuki, Griffiths, Miller i Lewontin, 1989. Dziękuję Kevinowi Richowi – artyście plastykowi, który sporządził te rysunki.

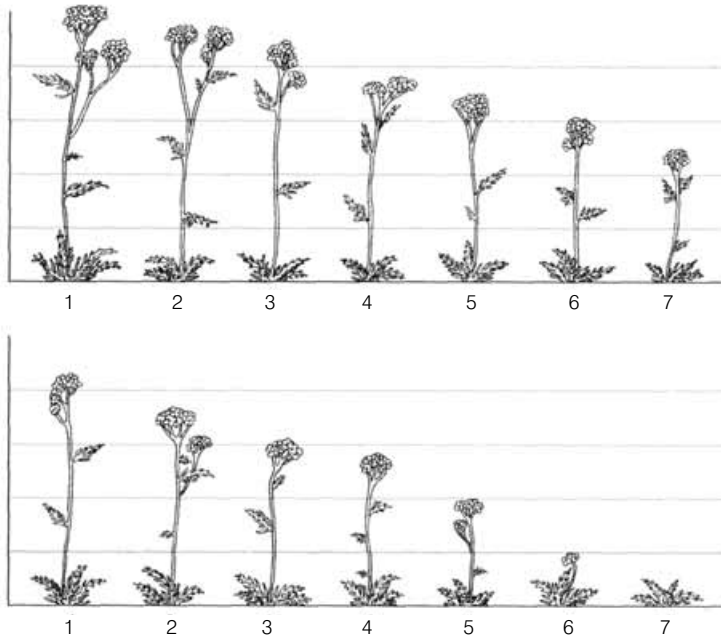


Dwa rzędy roślin
(rośliny w rzędzie dolnym ustawione w kolejności losowej)

Przedruk dzięki uprzejmości Kevina D. Richa.

z odnózek pobranych od tej samej rośliny macierzystej, a co za tym idzie – mają jednakowy genotyp (w języku biologów oznacza to, że dwa osobniki mają takie same geny). Mamy więc siedem różnych genotypów roślin należących do tego samego gatunku, lecz uprawianych w odmiennych warunkach środowiskowych: osobniki przedstawione na górze wyrosły (na przykład) na poziomie morza, a te z dolnego rzędu – na większej wysokości. Rysunek ten pokazuje, że niektóre genotypy pozwoliły roślinom osiągnąć wyższy wzrost w jednych warunkach środowiskowych, a inne – w drugich. Gdyby takie wyniki powtarzały się regularnie – gdyby pewne genotypy zawsze osiągały większą wysokość w jednych warunkach środowiskowych, a inne w drugich – to mielibyśmy dowód na interakcyjne oddziaływanie genów i środowiska.

Należy jednak zwrócić uwagę na pewien interesujący aspekt tego rysunku – otóż nie widać na nim efektu głównego – jak powiedzieliby statystycy – żadnej ze zmiennych: ani genotypu, ani środowiska. Efekt główny genotypu oznaczałby, że niektóre genotypy osiągną wyższy wzrost niż pozostałe w każdym warunkach środowiskowych. Efekt główny środowiska oznaczałby, że pewne warunki środowiskowe sprzyjają wzrostowi roślin w większym stopniu niż



Dwa rzędy roślin
(rośliny w rzędzie dolnym uporządkowane malejąco według wysokości)

Przedruk dzięki uprzejmości Kevina D. Richa.

inne. Rysunek drugi ilustruje oba te efekty – warto dodać, że przedstawiona na nim sytuacja jest dużo bardziej prawdopodobna niż ta pokazana na rysunku pierwszym. W przyrodzie efekty głównych genów i środowiska występują powszechnie. Efekty interakcyjne – kiedy się zdarzają – na ogół nakładają się na efekty główne. Często nie widać ich gołym okiem – żeby je wyodrębnić, trzeba sięgnąć po specjalne metody statystyczne.

Podczas konferencji NICHD wkrótce stało się jasne, że czołowi psychologowie rozwojowi, poruszeni rewelacjami genetyków behawioralnych, przegrupowali siły. Ci z nich, którzy dysponowali najbardziej wnikliwą wiedzą, zaniechali poszukiwań efektu głównego środowiska domowego (czyli wykazanie jego bezpośredniego wpływu na dzieci) i zaczęli wiązać swoje nadzieje z interakcjami pomiędzy genami a środowiskiem.

W języku potocznym słowo „interakcja” oznacza po prostu, że dwa obiekty lub zjawiska mają ze sobą coś wspólnego, tak jak w zdaniu: „Ginger Rogers wchodziła w interakcję z Fredem Astaire’em”. Jednak uczestnicy konferencji NICHD używali tego terminu w znaczeniu specjalistycznym – jako pojęcia statystycznego. Oto jak to ujęła Maccoby:

Dzisiaj interakcje pomiędzy stylem wychowawczym a przypuszczalnymi atrybutami genetycznymi stanowią przedmiot żywego zainteresowania psychologów rozwojowych. (...) [Pewna grupa badaczy] wykazała, że dany styl wychowawczy wywiera inny wpływ na dziecko z natury odważne i żądne przygód niż na dziecko nieśmiałe. (...) Gdybyśmy połączyli te dwie grupy dzieci, to część efektów stylu wychowawczego znikłaby bez śladu⁷.

Psychologowie rozwojowi mieli ważny powód, aby wiązać swoje nadzieje z interakcjami – dane zgromadzone przez genetyków behawioralnych nie wykluczały takiej możliwości. Wszelkie interakcyjne oddziaływania genów i środowiska przyczyniałyby się do niewyjaśnionej części wariacji cech osobowości, a nie do jej części przypisywanej wpływowi środowiska domowego lub czynników genetycznych. Dzięki temu psychologowie rozwojowi mogli zaakceptować wyniki badań przeprowadzonych przez genetyków, zachowując wiarę w istotną rolę rodziny. Środowisko rodzinne mogło być ważne – byli pewni, że tak jest! – ale nie czyniło dzieci bardziej podobnymi do siebie. Raz jeszcze przytoczę słowa Eleanor Maccoby:

Jeśli dany typ środowiska domowego albo konkretny styl wychowawczy wywiera zróżnicowany wpływ na dzieci o odmiennych predyspozycjach, to można wnioskować, że wychowanie często sprzyja powstawaniu różnic między dziećmi dorastającymi w jednej rodzinie, zamiast je do siebie upodabniać⁸.

Była to odpowiedź Maccoby na pytanie zadane kilkanaście lat wcześniej przez genetyków behawioralnych, Roberta Plomina i Denise Daniels: „Dlaczego dzieci dorastające w tej samej rodzinie tak bardzo się od siebie różnią?”⁹ Maccoby uznała, że wyrażenie „dzieci dorastające w tej samej rodzinie” oznacza rodzeństwo, zwyczajne rodzeństwo biologiczne. Zwykli bracia i siostry mają odmienne genotypy, a osoby o różnych genotypach rzeczywiście mogą reagować inaczej na jednakowe warunki środowiskowe. Problem w tym, że pytanie sformułowane przez Plomina i Daniels nie dotyczyło zwykłego rodzeństwa – większość danych podsumowanych w ich przełomowym artykule pochodziła z badań przeprowadzonych na bliźniętach. Bliźnięta jednojajowe mają takie same genotypy. Interakcja między genami a środowiskiem nie może wyjaśnić, dlaczego dzieci jednakowe pod względem genetycznym i wychowujące się

⁷ Maccoby, 2002, s. 42.

⁸ Maccoby, 2002, s. 42.

⁹ Plomin i Daniels, 1987.

w tym samym domu wyrastają na różne osoby. Ludzie o jednakowym wyposażeniu genetycznym prawdopodobnie przychodzą na świat z takimi samymi predyspozycjami, a co za tym idzie – powinni reagować tak samo na dane środowisko rodzinne czy styl wychowawczy.

Powodem, z jakiego psychologom rozwojowym nie przyszło do głowy, że ktoś może od nich wymagać wyjaśnienia różnic osobowościowych między bliźniętami jednojajowymi, mógł być fakt, że tak niewiele się mówi o owych rozbieżnościach. Przeciwnie – bez przerwy słyszymy o zdumiewających podobieństwach, jakie między nimi występują. Na pewno słyszałeś opowieści o bliźniętach jednojajowych, które zostały rozdzielone tuż po urodzeniu, wychowywały się w różnych domach i spotkały się po latach, już jako dorośli ludzie. I oto okazywało się, że obaj bracia (lub obie siostry) lubią straszyć współpasażerów, kichając głośno w windzie; albo boją się stawić czoło morskim falom i zawsze wchodzi do wody tyłem; bądź też obaj poślubili kobiety nazywające się Dorothy Jane Sheckelburger. No dobrze, ten ostatni przykład jest zmyślony, ale wydaje się tylko nieco bardziej dziwaczny niż niektóre z prawdziwych doniesień.

Nie ulega wątpliwości, że między bliźniętami jednojajowymi występują uderzające podobieństwa osobowościowe. Jednak wynikają one wyłącznie z jednakowych genotypów. Jak wyjaśniłam w poprzednim rozdziale, kiedy uwzględnimy wpływ wspólnych genów, różnice między bliźniętami jednojajowymi – różnice **niegenetyczne** – okazują się równie duże jak nieuwarunkowane genetycznie różnice między zwykłym rodzeństwem. Tak więc mechanizm środowiskowy, który wytwarzałby różnice między zwykłym rodzeństwem, lecz nie między bliźniętami jednojajowymi, nie może być odpowiedzią na modlitwy psychologów rozwojowych. Nie jest także sprawcą, którego poszukuję.

Zapomnijmy jednak na chwilę o bliźniętach jednojajowych – mam jeszcze kilka innych spraw do omówienia w tym rozdziale – i zastanówmy się, czy interakcje geny–środowisko mogą wyjaśniać różnice pomiędzy zwykłym rodzeństwem.

Dane zgromadzone przez genetyków behawioralnych wykazały brak efektu głównego środowiska domowego. Rośliny uprawiane w jednych warunkach środowiskowych były średnio równie wysokie jak te, które wyrosły w innych warunkach. Efekt netto środowiska domowego okazał się zerowy. Czy interakcje między genami a środowiskiem mogą wyjaśniać, dlaczego średni efekt warunków środowiskowych jest równy lub bliski zeru? Tak, jeśli mamy do czynienia z interakcją krzyżową, zilustrowaną na pierwszym z dwóch rysunków przedstawiających rośliny uprawiane w różnych warunkach. Niektóre genotypy – roślin lub dzieci – radzą sobie lepiej w jednych warunkach środowiskowych, a pozostałe w innych. Może dorastanie z rodzicami, którzy bez

przerwy się kłóć, sprawia, że jedne dzieci stają się bardziej otwarte, mniej ugodowe i mniej sumienne, podczas gdy inne wyrastają na osoby mniej otwarte, bardziej ugodowe i bardziej sumienne.

Jednak interakcje krzyżowe są w przyrodzie rzadkością. Autorzy podręczników do biologii muszą się napracować, żeby znaleźć ich przykłady. Jeden z nich dotyczy oczu muszki owocówki. Wydaje się, że normalne (pospolite) muszki owocówki mają mniejsze oczy, kiedy żyją w temperaturze powyżej 25 stopni Celsjusza, ale u odmiany zmutowanej – zwanej „infra-bar” – w wyższych temperaturach oczy stają się **większe**¹⁰. Gdybyśmy zatem badali próbę złożoną z pospolitych muszek owocówek i osobników odmiany infra-bar, nie wiedząc, że mamy do czynienia z dwoma rodzajami muszek, to moglibyśmy dojść do wniosku, że hodowanie tych owadów w wysokiej temperaturze nie ma wpływu na wielkość ich oczu.

Typ interakcji, który występuje w przyrodzie dużo częściej niż interakcja krzyżowa, można określić mianem interakcji opartej na wrażliwości. Niektóre genotypy są bardziej wrażliwe niż inne na określone warunki środowiskowe. Pewne genotypy reagują pozytywnie lub negatywnie na warunki, które nie wywierają istotnego wpływu na inne genotypy. Taki wrażliwy genotyp może nie rozwijać się prawidłowo w warunkach, które nie przeszkadzałyby osobnikom bardziej odpornym. Z drugiej strony może czerpać korzyści z warunków środowiskowych, które nie przyniosłyby wiele dobrego genotypowi niewrażliwemu.

Łatwo znaleźć naturalne przykłady tego rodzaju interakcji – nie musimy wzywać na pomoc zmutowanych muszek owocówek. Umieścimy dziecko, które przyszło na świat z talentem muzycznym, w muzycznym środowisku, a może wyrośnie z niego Mozart. Wychowujemy w tym samym środowisku dziecko pozbawione wrodzonego słuchu muzycznego, a wyrośnie z niego dorosły, któremu słoń nadepnął na ucho. Jeśli dziecko przejawiające skłonność do depresji będzie się wychowywało w stresującym otoczeniu, to może wyrosnąć na przygnębionego dorosłego. Jeżeli jednak w tym samym środowisku umieścimy dziecko pozbawione owej wrodzonej skłonności, to wyrośnie z niego osoba, która będzie nam opowiadać, jak stresujące jest jej życie, ale będzie przy tym sprawiała wrażenie rozdrażnionej, a nie przybitej¹¹. Wyniki naszych działań będą zróżnicowane, ponieważ to, co otrzymujemy, zależy od tego, czym dysponowaliśmy na początku.

W odróżnieniu od interakcji krzyżowych interakcje oparte na wrażliwości nie uśredniają się do zera. Jeśli niektóre genotypy reagują na określone warunki

¹⁰ Rzadkość w przyrodzie – zob. Rowe, 2001. Zmutowane muszki owocówki – zob. Suzuki i in., 1989.

¹¹ Caspi, Sugden, Moffitt i in., 2003.

środowiskowe, a inne nie, to średnio otrzymamy słabszą reakcję na dane warunki – efekt główny, tyle że mniejszy niż w wypadku braku interakcji.

W swoim wystąpieniu Eleanor Maccoby przedstawiła dane empiryczne przemawiające za oddziaływaniem interakcji opartych na wrażliwości. Spora część wymienionych przez nią badań dotyczyła ilorazu inteligencji. Maccoby wspomniała również o zachowaniach przestępczych i schizofrenii. Dzieci adoptowane, których biologiczni rodzice byli przestępcami, same częściej wchodziły w konflikt z prawem, jeśli wychowują się w środowisku, w którym popełnianie przestępstw uznaje się za jeden z możliwych sposobów zarabiania na życie. Dzieci adoptowane, których biologiczni rodzice przestrzegali prawa, wchodziły na drogę przestępstwa niezwykle rzadko, niezależnie od tego, w jakim środowisku dorastają. Biologiczne dzieci osób cierpiących na schizofrenię częściej same zapadają na jakąś chorobę psychiczną, jeśli dorastają z rodzicami adopcyjnymi, którzy sami mają tego rodzaju problemy¹².

Interakcje statystyczne często bywają ulotne – interakcje zaobserwowane w jednym badaniu nie ujawniają się w kolejnym. Maccoby jednak skoncentrowała się na trzech obszarach – ilorazie inteligencji, zachowaniach przestępczych i chorobach psychicznych – w których badacze regularnie stwierdzają występowanie interakcji. Problem w tym, że żadnej z tych interakcji nie zaobserwowano pod nieobecność efektów głównych. We wszystkich trzech obszarach dowiedziono występowania efektu głównego genów – biologiczne dzieci osób inteligentnych, dotkniętych schizofrenią lub podejmujących zachowania przestępcze częściej niż inne dzieci przejawiają wysoki poziom inteligencji, cierpią na schizofrenię lub popełniają przestępstwa, niezależnie od tego, gdzie się wychowują. We wszystkich tych obszarach stwierdzono również efekt główny środowiska – status społeczno-ekonomiczny wpływa na wysokość ilorazu inteligencji, a zachowania przestępcze i schizofrenia są bardziej powszechne w zatłoczonym środowisku wielkomiejskim. W wypadku schizofrenii to odkrycie wydaje się zgodne z hipotezą, że czynnikiem wywołującym tę chorobę u osób szczególnie podatnych może być infekcja wirusowa. W odniesieniu do zachowań przestępczych wyniki badań empirycznych sugerują, że to dzielnica, a nie dom rodzinny, decyduje o tym, czy dziecko zacznie łamać prawo. Nie ma niczego odkrywczego w spostrzeżeniu, że w niektórych dzielnicach wskaźnik przestępczości jest wyższy niż w innych¹³.



¹² Zachowania przestępcze – zob. Mednick, Gabrielli i Hutchings, 1987. Schizofrenia – zob. Tienari, Wynne, Moring i in., 1994.

¹³ Iloraz inteligencji – zob. Capron i Duyme, 1989. Zachowania przestępcze – zob. Gottfredson i Hirschi, 1990. Schizofrenia – zob. Andreasen, 1999. Wpływ sąsiedztwa – zob. Sampson, Morenoff i Gannon-Rowley, 2002; zob. też Harris, 2000, s. 315–316.

Tak naprawdę nic w wystąpieniu Maccoby nie było dla mnie nowiną. Nic z tego, co powiedziała podczas konferencji NICHD na temat wychowania dzieci, nie stanowiło przekonującego dowodu na to, że rodzice mogą kształtować osobowość dziecka poprzez sposób, w jaki je wychowują. Najbardziej przekonujące dane empiryczne przedstawione podczas konferencji nie dotyczyły ludzi – dzieci i rodziców – ale małp z gatunku rezus. To Stephen Suomi opowiedział o czymś, co sprawiało wrażenie niepodważalnego dowodu przemawiającego za wpływem wychowania na osobowość dzieci. A raczej rezusów.

Suomi rozpoczął swoje wystąpienie¹⁴ od porównania rezusów „wychowywanych przez grupę rówieśniczą” z małpkami, które były wychowywane w zwyczajny sposób – przez swoje matki (wszystkie te rezusy urodziły się i dorastały w klatkach laboratoryjnych). Małpy „wychowywane przez grupę rówieśniczą” zostały odebrane matkom tuż po urodzeniu i karmione butelką, a następnie – w bardzo młodym wieku – umieszczone w jednej klatce wraz z trzema lub czterema innymi małymi rezusami. Między małpkami dorastającymi w grupie rówieśniczej wytwarzają się silne więzi – kiedy się czegoś boją, kurczowo czepiają się siebie nawzajem. Podczas gdy małpy dorastające samotnie wyrastają na osobniki niezdolne do prawidłowego funkcjonowania społecznego, rezusy wychowywane przez grupę rówieśniczą są całkiem normalne. W pewnych okolicznościach jednak między zwierzętami dorastającymi w grupie rówieśniczej a tymi wychowywanymi przez matkę ujawniają się różnice statystyczne.

Czy będziesz zdziwiony, jeśli powiem, że spodziewałam się takich różnic? Nagłówek CZY RODZICE SĄ WAŻNI? ukazał się w tak wielu gazetach i czasopismach, które zamieściły artykuły dotyczące książki *Geny czy wychowanie*, że wielu czytelników odniosło wrażenie, iż moja odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”. Ja jednak nigdy nie powiedziałam, że rodzice nie są ważni – nie ulega wątpliwości, że odgrywają doniosłą rolę! To dlatego ewolucja wyposażyła rodziców w motywację do opieki nad dziećmi. Nie chodzi tylko o utrzymywanie niemowlęcia przy życiu – dorastanie z matką (lub z kimś, kto ją zastępuje) może być nieodzowne do optymalnego rozwoju mózgu dziecka, a dokładniej tych jego obszarów, które odpowiadają za zachowania społeczne. „Aby proces rozwoju dobiegł do pomyślnego końca – wyjaśniłam w książce *Geny czy wychowanie* – mózg potrzebuje pewnych bodźców ze środowiska. (...) Można powiedzieć, że rozwijający się mózg «oczekuje» pewnych bodźców, żeby funkcjonować prawidłowo poza łonem matki i pomyślnie doprowadzić proces rozwoju do końca”¹⁵.

¹⁴ S. J. Suomi, „Parents, Peers, and the Process of Socialization in Primates”. Referat przedstawiony podczas konferencji NICHD, „Wychowanie a świat dziecka”, Bethesda, stan Maryland, 2 sierpnia 1999.

¹⁵ Harris, 2000, tłum. Andrzej Polkowski, s. 171.